

# XXIV OFKL, Warszawa, 18-19.09.2015 r. „Kobieta w Kościele... Pejzaże”

*Halina Radacz*

## OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI A WSPÓŁCZESNOŚĆ DIAKONEK

### Realia życia polskich diakonek



19. 09. 2015 r.

To, co mam przedstawić dotyka bardzo osobistych przeżyć, więc nie ukrywam, że nie jest to dla mnie łatwe. Spróbuję jednak zmierzyć się z przeszłością choćby w jej fragmentach.

Pejzaże, to obrazy, które widzimy. Uchwycony fragment tego, co nas otacza, dlatego postanowiłam posłużyć się obrazami. Proszę się nie obawiać, nie będę demonstrować swoich wątpliwych malarskich talentów. Będą to krótkie opisy niektórych zdarzeń z mojego życia i służby.

Z całą świadomością nie komentuję opisanych zdarzeń. Tak jak przed obrazem - każdy ma prawo do własnych emocji, opinii i każdy sam może sobie dopisać komentarz.

#### **Obraz I.**

Kiedy miałam 16 lat zmarła moja mama i mój tato przejął w całości odpowiedzialność za wychowanie dwóch dorastających córek. Trzecia z nas, najstarsza obiecała mamie, że będzie tacie pomagać, szczególnie jeśli chodzi o mnie - najmłodszą.

Kiedy oświadczyłam, że chcę studiować teologię, reakcja mojego taty nie była spokojna. Długo mi tłumaczył, że to nie jest dobry pomysł, że może lepiej poszłabym na AWF, gdzie mogłam iść bez egzaminów, albo na politechnikę, o czym zawsze marzyła moja mama. To trwało prawie dwa lata. Na koniec tato powiedział: "Halinko, nigdy nie będą cię traktować na równi z mężczyznami, jako pełnowartościowego i pełnoprawnego pracownika kościelnego. Nie chcę, abyś całe życie

musiała walczyć". Moja najstarsza siostra zrobiła tacie awanturę, kiedy dowiedziała się jakie studia wybrałam. powiedziała: "mama nigdy by się na to nie zgodziła".

Wychowana w rodzinie partnerskiej, gdzie nie było podziału na obowiązki męskie i żeńskie, nie rozumiałam ani oburzenia mojej siostry, ani oporu mojego taty i rzeczywiście nie miałam pojęcia, co mnie czeka....

## **Obraz II.**

Kiedy rozpoczęłam studia w 1978 r., w listopadzie Starszy Bursy z funduszy konsystorskich kupił trzy nowe tapczany i poinformował wszystkich studentów mieszkających przy ul. Miodowej, że muszą złożyć się na pokrycie kosztów transportu. Na wtorkowym spotkaniu studentów zapytałam dlaczego wziął taksówkę bagażową, zamiast skorzystać z darmowego transportu Domu Meblowego Emilia. Na to pytanie nie otrzymałam odpowiedzi, więc oświadczyłam, że nie mam zamiaru płacić za czyjąś niegospodarność. Wówczas dowiedziałam się, że mam siedzieć cicho. Spytałam: dlaczego? odpowiedź dla mnie była zaskakująca i niedorzeczna: "Bo jesteś na pierwszym roku i do tego jesteś dziewczyną, więc nie masz prawa głosu". Gdzie to jest napisane? - spytałam. Nigdzie! taka jest tradycja!" Odpowiedziałam: "Przykro mi, ale ja nie jestem tradycjonalistką i nie mam zamiaru siedzieć cicho ani płacić za czyjąś bezmyślność". Jeszcze długo niektórzy z kolegów omijali mnie wielkim łukiem.

## **Obraz III**

Po studiach pracowałam krótko w mojej rodzinnej parafii w Sopocie i raz w miesiącu dojeżdżałam na nabożeństwa do Mikołajek Pomorskich. Przyjeżdżałam pociągiem ok. 12:00, szłam do domu państwa kościelnych, którzy czekali z obiadem, potem stopniowo zjeżdżali się z okolicznych wiosek wszyscy parafianie. Kiedy pierwszy raz pojechałam do Mikołajek, nikt nie wiedział, że przyjedzie kobieta (to było przed erą telefonów komórkowych). Państwo kościelni widząc mnie w czarnej garsonce i białej bluzce, byli trochę zaskoczeni ale przyjęli mnie bardzo serdecznie. Kiedy jeszcze siedziałam nad talerzem stanęły przede mną trzy panie: najstarsza - ok 60 lat, jej córka ok. 30 i 14-letnia wnuczka.

Najstarsza z pań zapytała: gdzie jest ksiądz? "tu siedzi" - wskazała na mnie pani kościelna.

- Co takiego? - krzyknęła starsza pani

- Katechizm, to ja se mogę w domu sama poczytać!.

Tej niedzieli żadna z pań nie poszła ze wszystkimi do kościoła. Na szczęście, kiedy już wyjeżdżała i z drżącym sercem wyciągnęłam do nich rękę na pożegnanie, podały mi swoje ręce. Po miesiącu w nabożeństwie uczestniczyły już dwie młodsze panie, a w kolejnych już wszystkie. Nie wracałam w rozmowach przy stole do pierwszego spotkania.

Po niecałym roku nadeszły Święta Bożego Narodzenia. Ponieważ chcieliśmy być całą rodziną przy stole, a jadąc pociągiem wracałam do domu ok 21:00, szwagier postanowił zawieźć mnie samochodem. Śniegu było sporo, ale drogi były przejezdne. Po nabożeństwie zapytałam:

- "kto jedzie w kierunku Gdańska?, mamy trzy miejsca i chętnie kogoś weźmiemy".

Wstały moje trzy panie....

Kiedy już wysiadły przy swoim domu podeszła najstarsza i mówi:

- "Muszę panią przeprosić..."

- pytam zdziwiona: "za co?"

- "No wie pani... ja wtedy nie wiedziałam, że to nie ma żadnej różnicy. Teraz bardzo lubię jak pani do nas przyjeżdża na nabożeństwa".

#### **Obraz IV.**

"To my już najgorsi jesteśmy, że dali nam babę" - pytał jeden z parafian w Działdowie. Po trzech miesiącach wyjechałam na krótki urlop, w tym czasie nabożeństwa odprawiał proboszcz. Kiedy wróciłam, ten sam mężczyzna powitał mnie z radością:

- "no nareszcie, jak Pani ma nabożeństwo, to wiem, że jestem w kościele".

Jego żona natychmiast przypomniała mu, co mówił na początku, śmiał się twierdząc, że tylko krowa nie zmienia poglądów.

W tym czasie w Działdowie była jedynie kaplica, a w należącym do tej samej parafii Lidzbarku Welskim stał i stoi niewielki kościół. Oczywiście pojawił się problem; jakie i jak mam odprawiać nabożeństwa? Według obowiązujących wówczas przepisów powinno to być skrócone nabożeństwo Słowa, bez wchodzenia do ołtarza i bez wychodzenia na ambonę. Problem był jednak taki, że ksiądz proboszcz przyjeżdżał w najlepszym wypadku raz na kwartał. Dał się więc przekonać, że parafianie nie powinni być karani za to, że mają tylko katechetkę i odprawiałam pełne nabożeństwa Słowa Bożego

W trakcie jednego z posiedzeń Rady Parafialnej, ksiądz proboszcz wyjaśnił radnym, że katechetka, a taką wtedy byłam, nie ma prawa wchodzić na ambonę, i że trzeba zrobić dla mnie pulpit.

Kościół nie jest duży, radni odpowiedzieli jednomyślnie, że po to jest ambona, żeby z niej głosić Słowo Boże, żeby zwiastującego było widać i słyhać, ale oczywiście jeśli będą mieli za dużo pieniędzy, to pomyślą o pulpicie.

#### **Obraz V.**

Ok. 30 km od Działdowa mieszkała pewna mazurska rodzina. W niewielkim, typowym dla Mazur domku, zawsze wzorowo wysprzątanym. Bywałam tam dosyć często, ponieważ w tej wiosce było więcej ewangelików, także dzieci, a dowiedziałam się, że rzadko przyjeżdżają na nabożeństwo, bo autobus PKS-u dla pięcioosobowej rodziny sporo kosztuje, więc właśnie u tych państwa

odprawiałam nabożeństwa domowe. Gospodarz był prostym człowiekiem, nie znał literackiego języka polskiego. Mówił piękną mazurską gwara, skończył "za Niemca" cztery klasy mazurskiej szkoły.

Ten mój jeden z ostatnich prawdziwych Mazurów zachorował na nowotwór prostaty. Zaczął często przebywać u córki w Działdowie, bo tak było bliżej do szpitala. Mnie także często odwiedzał pytając o różne rzeczy. Któregoś dnia zapytał:

- co to jest urografia?

Zaczęłam mu tłumaczyć, że w szpitalu przed operacją muszą dokładnie wszystko wiedzieć, co gdzie urosło i jak bardzo i dlatego trzeba zrobić takie specjalne zdjęcia jego "przyrodzenia", z przodu, z jednego boku i z drugiego boku, ale żeby się niczego nie obawiał.

Następnego dnia znowu przyszedł i zapytał:

- Czy Księżowa ma aparat fotograficzny?

- mam - odpowiedziałam nieświadoma konsekwencji...

- to niech mi Księżowa zrobi te zdjęcia, nie będę przed pielęgniarkami gaci zdejmował.

## **Obraz VI.**

Jak już wspomniałam ksiądz proboszcz przyjeżdżał do Lidzbarka raz na kwartał, przyjechał w czasie Adwentu, było śnieżnie i mroźnie. Po nabożeństwie stwierdził, że jeśli parafianie nie zainstalują ogrzewania w kościele, to on nie będzie przyjeżdżał zimą. Jeden z członków Rady Parafialnej odpowiedział: "drogi Księżo, proszę ordynować panią Halinę i w ogóle Ksiądz nie będzie musiał przyjeżdżać". Dwa miesiące później zostałam przeniesiona do Olsztynka.

## **Obraz VII**

W Olsztynku 8 lat nie odprawiano nabożeństw. Ludzie jeździli do sąsiednich parafii, lub nie uczestniczyli w nabożeństwach w ogóle. Dostałam służbowe mieszkanie bez łazienki, bez ogrzewania, poza jednym starym kaflowym piecem i bez izolacji. Gdy przy piecu zimą było 30°C, to przy podłodze było 14°C, a pod oknami 10°C. Mimo to, pokochałam Olsztynek całym sercem. Zaczęłam zbierać ludzi, zwozić dzieci na lekcje, parafian z wiosek na nabożeństwa, ponieważ autobusy w niedzielę nie kursowały. Z rodzeństwem Anią i Adasiem lekcje prowadziłam u nich w domu i bardzo zaprzyjaźniłam się z całą rodziną. Konfirmacja Ani, były dla nas wielkim przeżyciem - pierwsza po wielu latach...

Dwa lata później do konfirmacji przystąpił Adaś. Przyjechał nowy ksiądz proboszcz i tuż przed nabożeństwem konfirmacyjnym mojego ucznia, którego sam prawie nie znał, oświadczył mi, że nie muszę ubierać togi, bo nie będę mu potrzebna. Miałam ochotę zostać w domu, ale nie mogłam tego zrobić Adamowi. Założyłam togę, grałam na fisharmonii w trakcie nabożeństw, a po błogosławieństwie nie zagrałam końcowej pieśni, podeszłam do ołtarza i wygłosiłam przygotowane kazanie w formie życzeń, i wręczyłam Adamowi Biblię z dedykacją, o czym ksiądz

proboszcz nie pomyślał. Ale dziękowałam Bogu, że tym razem całość kazania miałam napisaną (często przygotowuję tylko rozszerzone punkty), bo nie byłam w stanie swobodnie mówić.

## **Obraz VIII**

Od 1989r. kiedy przeniesiono mnie do Olsztynka, który nie miał żadnych możliwości finansowych, otrzymywałam wynagrodzenie z diecezji, jako katecheta diecezjalna i poza pracą w parafii pracowałam z dziećmi, młodzieżą i kobietami w całej diecezji. Kiedy ks. senior Kubiczek odszedł na emeryturę i wybrany został nowy już nie senior, a biskup diecezji, na pierwszym posiedzeniu Synodu Diecezjalnego oświadczył, że nie ma potrzeby ani pieniędzy i zaproponował, aby zlikwidować stanowisko katecheta diecezjalnego, a panią Płoszek dać do dyspozycji Konsystorza. Parafianie w Olsztynku dowiedzieli się o tym od świeckich członków Synodu, bez mojej wiedzy napisali pismo do Biskupa Kościoła, który obiecał, że katecheta Halina Płoszek pozostanie w Olsztynku. Pozostałam, ale bez wynagrodzenia, bez środków do życia. Był maj, już mówiło się o wprowadzeniu od września religii do szkół, ale do września było jeszcze trochę czasu. Od maja do września pracowałam w stolarni, na obiady często zapraszali mnie parafianie. Od września uczyłam religii, ale także śpiewu,

w-f-u, historii. Nie otrzymywałam wynagrodzenia z Kościoła 8 lat. Nie miałam o to pretensji, uważałam, że mam służbowe mieszkanie, nie płacę za prąd i za gaz - to też jest forma wynagrodzenia, a w końcu ap. Paweł wypłatał namioty, by nie być ciężarem dla zboru, więc ok. Natomiast kiedy pewnego dnia dostałam pismo z informacją, że mam płacić czynsz, to się we mnie zagotowało. Mieszkanie w Olsztynku zbudowałam z dotacji celowej Diakonii z Hamburga. Kwota nie była duża. Było jasne, że może wystarczy na materiały, ale nie ma mowy o zapłaceniu robocizny. Przy budowie pracowałam ja, mój tato i dwóch, w tym czasie, bezrobotnych parafian za talerz zupy. Odpisałam więc bardzo grzecznie, dołączając kosztorys wykonanych prac, że jeśli diecezja zwróci koszty robocizny, to ja będę płaciła czynsz.

## **Obraz IX**

Kiedy przyszedłam do Działdowa, kuratorem parafii był pan, o którym wszyscy mówili, by na niego uważać, że jest „ubekiem”, że jest nieszczerzy itd. Pewnego dnia w niedzielę po południu przyszła do mnie parafianka i opowiedziała mi, co się działo, kiedy członkowie rady i dwie osoby spoza niej czekali w kancelarii na mój przyjazd z Lidzbarka i na nabożeństwo. Otóż pan kurator zaczął opowiadać, że spotykam się z różnymi mężczyznami, i że widuje mnie pijaną na mieście, a kiedy go zauważam to chowam się za krzakami. Tydzień później poprosiłam po nabożeństwie członków rady parafialnej oraz te dwie osoby spoza rady, na krótkie spotkanie. Zaprosiłam także księdza administratora. Na spotkaniu poprosiłam pana kuratora o wyjaśnienie i przeprosiny. Nie wspominałabym tej historii gdyby nie to, że jakiś czas temu w ramach wspomnień dawnych czasów i różnych spotkań z komunistyczną władzą opowiedziałam o tym zdarzeniu jednemu z zaprzyjaźnionych duchownych. Patrzył na mnie zaskoczony i powiedział: ale wiesz ta historia z krzakami. Dokładnie to opowiadano o tobie na cieszyńskim. Dokładnie tak „puszcza się, a pijana chowała się za krzakami”.

Kilka lat temu był ordynowany mój bratanek (stryjeczny), jeden z księży skomentował: „No, może wreszcie nazwisko Płoszek będzie zrehabilitowane” .

Dzisiaj żyję i pracuję w zupełnie innej sytuacji i warunkach. Jestem diakonem a nie katechetką, w Diecezji Warszawskiej zarówno ja, jak i moje koleżanki w urzędzie traktowane są z szacunkiem a nasza służba jest dostrzegana i doceniana. Mam świadomość, że moje przeżycia nie są odosobnione i gdyby każda z nas (diakonem) spisała swoją historię powstałoby obszernie dzieło nie przynoszące chluby duchownym mężczyznom.

Jeśli ktoś pyta, co te doświadczenia sprzed lat znaczą dla mnie i co we mnie zmieniły to, tak jak osobiste były opisane przeżycia, tak również bardzo osobiście odpowiem; O Boga, Jego istnienie i działanie zaczęłam pytać po przedwczesnej śmierci mojej mamy. Z bólu po stracie zrodziła się moja wiara, wybór życiowej drogi i wreszcie ślubowanie służby dla Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła.

Natomiast z doświadczonego odrzucenia, poniżania i wykluczania zrodziło się myślenie o Kościele jako społeczności świętych, społeczności równych, jednakowo ważnych i jednakowo godnych przed Bogiem i wobec siebie.



**Diakon Halina Radacz**, ur. 1958 r. w Gdańsku. Po studiach teologicznych w ChAT pracowała w parafiach w Sopocie i Działdowie. W latach 1989-98 praca duszpasterska w parafii filialnej w Olsztynku, a od 1998 r. duszpasterz parafii luterańskiej w Żyrardowie. Pracuje też w redakcji Ekumenicznej TVP.

Dk. Halina Radacz podczas obrad  
XXIV OFKL